665

jestem u progu

O przechodzeniu z młodości w dojrzałość z ANNĄ DYMNĄ rozmawia ZOFIA JAREMKO

– Co to jest dojrzałość?

– Nie wiem co to jest. Uwielbiam takich ludzi, którzy będąc dojrzałymi, starymi, doświadczonymi cały czas potrafią patrzeć na świat oczyma dziecka. To jest cudowne. I to chyba jest największa dojrzałość. Dojrzałość polega na tym, że człowiek staje się coraz bardziej tolerancyjny na to,co dzieje się dookoła, więcej rozumie, nie reaguje wprost.

– Czy Pani jest dojrzała?

– Na pewno piętnaście lat temu byłam zupełnie kimś innym niż teraz. Musiałabym mówić o rzeczach, które mnie zabolały najbardziej w życiu, o wielkich tragediach. Ale właśnie przez takie przeżycia osobiste – kiedy to zawalił się cały świat, który wypracowywałam w radości z młodzieńczym zapałem, przez to, że spaliło się mieszkanie, potem umarł mąż, następnie miałam bardzo ciężki wypadek samochodowy – przez takie przeżycia gwałtownie dojrzałam. I stałam się innym człowiekiem, co nie znaczy wcale, że jestem zgorzkniała. Wręcz odwrotnie. Człowiek zdrowy, którego nic nie boli, często narzeka na złe samopoczucie i nie potrafi się z niczego cieszyć. A człowiek, który umierał, któremu groziło kalectwo i udało mu się z tego wyjść, bardziej świadomie podchodzi do tego „co dane". Ja na przykład po tych klęskach stałam się dużo większą optymistką. Potrafię się cieszyć tym, że mam dwie ręce i nogi, dużo mniej narzekam. Napatrzyłam się także na nieszczęścia innych ludzi, leżałam przez wiele miesięcy w szpitalu. I myślałam, Boże, to ja jestem nieszczęśliwa!? Dopiero tamci ludzie są nieszczęśliwi. Kiedy się jest w potwornym stresie psychicznym i fizycznym, budzą się wtedy jakieś atawistyczne siły. Jestem dojrzała, bo zobaczyłam dużo zła, przeżyłam wiele tragedii. Jestem tolerancyjna, patrzę bardziej obiektywnie na to co jest. Młodzi ludzie reagują bardziej spontanicznie na wiele rzeczy, szybciej się złoszczą, szybciej cieszą.

O przechodzeniu z młodości w dojrzałość z ANNĄ DYMNĄ rozmawia ZOFIA JAREMKO

– Wydaje mi się, że młodość charakteryzuje niecierpliwość, brak wyobraźni i umiejętności przewidywania co będzie za tydzień, rok. Czy te cechy zwyczajowo przypisywane młodości można zachować?

– Tak, ja się nie zmieniłam w ważnych odruchach, tak samo reaguję na zło. Pierwsze odruchy są tak zakodowane, że dojrzałość nie ma z nimi nic wspólnego. Zostałam w sposób określony wychowana przez rodziców i prawdy przez nich zakorzenione nie zmieniają się.

– Jakie to prawdy?

– Rodzice uczyli mnie przede wszystkim tego, że nie wolno nienawidzić. Nawet jeżeli ktoś robi coś złego, trzeba raczej dowiedzieć się, dlaczego on tak postępuje. Tolerancji uczyła mnie matka przez cały czas. Uczono mnie także, że wszytko należy robić samemu, że tylko to ma wartość, co zrobię własnymi rękami i w związku z tym nie akceptuję nieuczciwości, chytrości, przebiegłości. To nie znaczy, że jestem aniołem, mam na pewno swoje różne wady. Nie potrafię w ogóle kombinować. Mój pierwszy mąż nauczył mnie, że całe życie trzeba się czegoś uczyć. Uczył mnie, że trzeba chcieć zrobić wszystko, że na tym polega sens życia. Lubię ludzi, którzy zbudują sobie jakąś dziwną machinę czy sami szyją, robią krzesła. A nie lubię takich, którzy mówią, nie umiem tego, nie mam cierpliwości, nie chce mi się. Rodzice uczyli mnie także miłości do życia, wrażliwości na to, co jest naokoło i uważam, że to jest najważniejsze w życiu.

– Jak Pani sobie wyobraża dalszą karierę? Czy Pani już wie, że przechodzi w wiek dojrzały?

– Czuję to i wiem. W tej chwili mam trzydzieści trzy lata i już nie jestem tą młodziutką panienką. W naszym zawodzie młodość jest czasami największym atutem. Gdy zaczynałam grać w filmach, nie miałam osiemnastu lat. Grałam nie dlatego, że byłam wielką aktorką. Nie byłam nikim, zwierzątkiem z pewnymi predyspozycjami i z takimi a nie innymi warunkami psychofizycznymi, ale największym moim atutem była młodość. Jeżeli zagra się ze trzy role naiwnych, ślicznych, głupiutkich panienek, to potem już i reżyser, i ludzie niczego nie chcą widzieć w tej aktorce poza właśnie młodością i naiwnością, i świeżością, a czas mija. Widzowie chcą mnie ciągle widzieć jako Marysię w „Znachorze" czy Anię Pawlaczkę i będzie im trudno zobaczyć mnie inną. Teraz zagrałam w telewizji w sztuce O'Neila i już pani w sklepie powiedziała, niech pani nie gra takich złych, bo pani jest taka śliczna i taka dobra. Takie etykietki się przykleja do aktora. Recenzenci przez wiele lat nie pisali nic innego o mnie tylko, że ładnie wygląda, wdzięcznie się rusza. Dla aktorki jest to w pewnym momencie upokarzające. Każdy aktor chce być najlepszy na świecie, ambitny, interesujący.

Aktorowi nie wolno zadawać pytań typu, jak sobie wyobraża dalszą karierę. Nie mamy żadnego wpływu na naszą karierę, jak to się szumnie nazywa. Jesteśmy ludźmi do wynajęcia. Nie mogę powiedzieć reżyserowi, dyrektorowi teatru, proszę pana, ja wiem, że w tej chwili świetnie zagrałabym Desdemonę czy Lady Makbet i czuję, że teraz powinnam to zagrać. Jesteśmy ludźmi na zawołanie i na dzwonek. Dzwonią – to lecimy. Wielu aktorów całe życie czeka na taki dzwonek. Wielu ma takie szczęście jak ja, że dosyć często do mnie dzwonią, choć nie tak często jak bym chciała. W tej chwili jestem u progu, choć nie narzekam na brak pracy. Tak się szczęśliwie złożyło, że już podczas studiów grałam bardzo dużo i w filmie, i w teatrze.

– Powiedziała Pani, że jawi się już w propozycjach różnica, że dostrzega się fakt, iż może Pani podjąć rolę kobiet, a nie tylko panienek i dziewczątek. Co Pani sądzi w ogóle o wieku między trzydzieści i czterdzieści lat?

– To piękny wiek! W tej chwili myślę, że jestem w najpiękniejszym dla kobiet wieku. Ale jak będę miała pięćdziesiąt lat, pewnie będę mówiła, że to właśnie pięćdziesiąt mieć jest najlepiej.

– Nie boi się Pani, nie stoi przed lustrem, nie ogląda nowych siwych włosów, zmarszczek?

– Ludzie, co prawda, dokuczają mi, że siwieję, ale ja na to odpowiadam, że na siwe włosy trzeba sobie zapracować i zasłużyć. Widocznie sobie zasłużyłam, skoro je mam.

– Nie uważa Pani, że z wiekiem człowiek się wypala?

– Podejrzewam, że tak. To jest naturalne. W naszym zawodzie, obserwuję to również u swoich kolegów, jest coś takiego, takie okresy w życiu, że pracujemy jednocześnie w filmie i w teatrze. Po spektaklu wsiadamy w taksówkę i całą noc jedziemy na plan. Od rana do południa są zdjęcia gdzieś za Warszawą, Wrocławiem czy w Łodzi. Wracamy na spektakl i tak to trwa parę miesięcy. Są aktorzy, którzy pracują w teatrze tyle, że są codziennie, poza poniedziałkami. I wtedy się wypalają. Ale to jest chwilowe. W pewnym momencie aktor czuje się jak puste naczynie, jest przekonany, że już nic nie potrafi w sobie prawdziwego pobudzić, że wszystko jest sztuczne i udawane. A w tym zawodzie jest konieczne to, żeby co wieczór pobudzać w sobie coś prawdziwego, naturalnego, żywego. Ale po odpoczynku człowiek z powrotem pracuje normalnie. A nie wiem, jak to jest z wypalaniem. Przecież starzy aktorzy, którzy z nami grają, pracują i mają po siedemdziesiąt lat, są wspaniałymi ludźmi. Pełni życia, dowcipu.

– Czy Pani zerwała z jakimiś przekonaniami z młodości?

– Nie, absolutnie nie!

– Czy jest Pani agresywna w stosunku do życia?

– Nie wiem, trzeba by się spytać ludzi, z którymi obcuję. Ale chyba nie jestem agresywna. I na przykład nie potrafię pracować w konfliktowej sytuacji. Jeżeli na próbie są jakieś konflikty ludzkiej natury, nie dotyczące samej pracy, to ja uciekam, chce mi się płakać i nie potrafię pracować. Nie potrafiłabym grać z partnerem czy pracować z reżyserem, który by mnie nienawidził. Jest mi potrzebne pełne zaufanie. Raz mi się zdarzyło, że zostałam obsadzona w głównej roli w filmie przez reżysera, który od samego początku nie był przekonany, czy to powinnam grać ja, czy kobieta o zupełnie przeciwnych cechach. Wybrał mnie, ale wiedziałam, że nie jest zdecydowany. I to była dla mnie męka, bo cały czas to czułam.

– W środowisku aktorskim konkurencja odgrywa znaczną rolę, chce się być zauważonym, wybranym?

– W ostatnich czasach może rzeczywiście wszyscy są podrażnieni i podenerwowani, tym co się dzieje naokoło. Kryzys niewątpliwie ma wpływ na naszą psychikę. Ale ja jestem w dość nietypowym teatrze. Kiedy przyszłam do Teatru Starego, byłam przyjęta z otwartymi ramionami. Wszyscy mi pomagali, wręcz mnie traktowali jak maskotkę, nawet mnie rozpuszczali. I teraz nie ma żadnych nienawiści w naszym zespole. Wśród tych aktorów, którzy dużo pracują, są potrzebni; nie ma takich zawiści. Pomiędzy tymi, którzy latami czekają na role, grają epizody, są częściej konflikty, oni są zdenerwowani, czują się pokrzywdzeni, niedowartościowani. Aktorowi jest potrzebne uznanie. Nie chcę zresztą widzieć złych rzeczy dookoła i często ich nie dostrzegam.

– Czy doświadczenie życiowe waży na wykonywaniu zawodu, czy się z niego czerpie?

– To nie ma znaczenia. Ludziom wydaje się, że jak się przeżyje tragedię osobistą, to się świetnie zagra w tragedii. To naprawdę nie ma nic wspólnego. Byli aktorzy, którzy byli filozofami, wielkimi myślicielami i byli marnymi aktorami. Bywali aktorzy, którzy byli tumanami, nic nie czytali, nic nie wiedzieli, mówili, gram króla, nic mnie nie obchodzi, który to był wiek i grali genialnie, intuicyjnie. Wiem jedno, że jak człowiek przeżywa tragedię osobistą, to gorzej pracuje i gorzej gra. To wcale nie pomaga. Choć praca w teatrze i życie wpływają na siebie nawzajem. Czasami muszę zapomnieć o własnych kłopotach, wchodzę na scenę i muszę grać. Więc to jest odpoczynkiem, psychoterapią. Sztuka jest skondensowanym życiem, zazwyczaj gramy stany ostateczne, cierpienie, radość, miłość i to jest bardzo męczące. Wtedy szybciutko lecę do domu i robię te swetry, kompoty, hoduję psy, kwiatki, wymaluję obrazek i to jest mi potrzebne. Żeby wykonywać ten zawód, muszę być najzwyklejszym człowiekiem na świecie, muszę mieć najzwyklejsze problemy, by móc pracować w teatrze. Jedno dopełnia drugie.

– A w domu nie gra Pani, żeby coś osiągnąć?

– Nie potrafię grać w życiu. Podejrzewam, że ci ludzie, którzy nie są aktorami, o wiele więcej grają w życiu niż aktorzy. Mnie się już nie chce grać.

– Na czym polega kobiecość?

– O! To się trzeba mężczyzn pytać. Nie wiem: na pewnej wrażliwości innej od męskiej, mądrości, na potwornej sile, której w ogóle mężczyźni nie mają.

– Czy Pani coś dla siebie zaczęła robić po trzydziestce?

– Nie, w jakim sensie?

– Na przykład urody, dbania o nią?

– Nie. Parę lat temu miałam ciężkie urazy kręgosłupa i musiałam gimnastykować się intensywnie. I od tej pory bardzo dużo się gimnastykuję. To by się przydało wszystkim kobietom, ale ja to robię tylko dlatego, że muszę. Palę papierosy, a nie powinnam, więc tak wiele nie myślę o urodzie. Ona jest, to jest, a jak jej już nie będzie, pewnie będę żałować, że nie dbałam. Dbać o siebie można tylko w ten sposób, żeby się nie złościć, więcej uśmiechać.

– Czy Pani jest nerwowa, czy spokojna?

– Zawsze było tak, że nosiłam spokój. Wiele osób w stresach do mnie przychodziło. Efekt jest taki, że mam nerwicę wegetatywną, czyli problemy kryję w sobie. Nie znaczy, że jestem aniołek, bo jak czasem mnie szlag trafi, to wszystko w powietrzu lata. Potrafię się rozładowywać.

– Przechodzenie z młodości w dojrzałość chyba każdej kobiecie czyni przykrość?

– Uważam, że nie! Wcale nie chciałabym mieć siedemnastu lat. Byłam głupia jak but z lewej nogi, niecierpliwa. Nie wiedziałam, co się działo naokoło. Teraz to widzę, czuję więcej niż kiedyś. Dostrzegam takie rzeczy, o których w ogóle nie wiedziałam, że istnieją. Podejrzewam, że taki stan utrzymam, o ile dalej będę potrzebna w zawodzie. Może przyjdzie taki okres, to może nastąpić nawet za pół roku, że okaże się, że nikomu nie jestem potrzebna. Myślę, że wtedy przyjdą jakieś stresy.

– Czy Pani już się tego boi?

– Nie boję się wcale. Teoretycznie wiem, że tak może być i jestem na to przygotowana.

– Dziękuję bardzo za rozmowę.